

Był deszczowy, wiosenny wieczór. Pomimo ciepłej pory roku czarne chmury skutecznie sprawiły, że na dworze panował wszechobecny mrok, szczególnie w okolicach, gdzie brakowało sprawnych latarni. Tymi mrocznymi, zapomnianymi przez świat ulicami kroczyła atrakcyjna kobieta. Jej aparycja w tym ponurym otoczeniu wręcz raziła. Ta kobieta, choć wybitnie nie pasująca do panującego dookoła krajobrazu nędzy i destrukcyjnej ręki czasu, nie przykuwała niczyjej uwagi, poza jednym, zazdrosnym spojrzeniem przejeżdżającej na rowerze staruszki. Wszędzie panował brud. Nie dziwi to, gdyż większość mieszkań była opustoszała i nie miał kto zadbać o to miejsce. Zrujnowane osiedle czekało. Albo na wyrok w postaci wyburzenia, albo na wybawienie, czyli remont generalny. Kilkoro przypadkowych przechodniów bardziej szukało schronienia przed ulewnym deszczem, niż rozglądało się po okolicy. Kroczącej między starymi, częściowo zrujnowanymi budynkami kobiecie było to na rękę. Nie chciała zwracać niczyjej uwagi. Była wystarczająco zdenerwowana ostatnimi dniami, które były cholernie dalekie od sielanki.

Emanujące zaniedbaniem i dość niskie, najwyżej jednopiętrowe budynki świeciły pustkami. Generalny remont byłby tutaj wielce pożądanym gościem.

„Klimat jak w starych kryminałach” — pomyślała Małgorzata.

Wysoka, zielonooka blondynka w czarnej mini i ciemnym żakiecie normalnie zwróciłaby uwagę niejednego mężczyzny, ale dziś nie było w okolicy męskiego oka chętnego do podziwiania jej urody. Momentami brakowało jakiegokolwiek oka.

W strugach złośliwie opadającego z nieba deszczu dotarła do budynku, którego szukała. Wyjęła z torebki małą karteczkę z adresem, by upewnić się, czy dobrze trafiła. Spojrzała na mały świstek papieru i z pewną nutą żalu musiała przyznać przed samą sobą, że dotarła na miejsce. Choć szukała tego budynku, to liczyła w duchu, że nie będzie taki straszny.

„To tutaj, niestety” — pomyślała na widok jednopiętrowego domu o płaskim, dziurawym dachu i z powybijanymi częściowo oknami. Wszystko wyglądało tak, jakby miało się w każdej chwili zawalić. Małgorzata miała, jak się okazało, złudną nadzieję, że pomimo całego niezbyt przyjemnego klimatu tego miejsca, trafi jej się coś lepszego. Dałaby wiele za odstępstwo od normy. Zbliżyła się powoli do drzwi frontowych i wyciągnęła niepewnie rękę, by zapukać.

„Nieźbyt dobra wizytówka” — stwierdziła, spoglądając na wiszącą na jednym gwoździu tabliczkę, prawdopodobnie z jakimś nazwiskiem. Spróbowała je odczytać,

ale nie była w stanie rozszyfrować starego napisu. Zawahała się przez chwilę przetykając ślinę, poczuła napływ adrenaliny. Jeśli Małgorzata przed pojawieniem się tutaj miała jeszcze pojęcie, czym jest rozsądek lub instynkt samozachowawczy, to z każdą chwilą te pojęcia wydawały jej się coraz odleglejsze. Ulatniały się niczym sen o poranku.

„Z pewnością miewałam już bezpieczniejsze i mądrzejsze pomysły” — zganiała się w duchu, zdając sobie sprawę, że pora i klimat na taką wizytę nie był najodpowiedniejszy. Czas jednak zmuszał panią Małgorzatę Wrzesień do odważniejszych zachowań. Nie mogła czekać, a na pewno nie wtedy, gdy jest już tak blisko osiągnięcia celu.

Po chwili wahania przełamała się. Zapukała. Zgodnie z przewidywaniami nikt nie otworzył.

„Może powinnam sobie pójść i wrócić innym razem? Nikogo nie ma” — pomyślała przez moment.

— No nie, nie dam się zastraszyć. Czas nagli — mruknęła pod nosem i podbudowana nieco własną odwagą nacisnęła pokrytą rdzą klamkę, po czym weszła do środka, otwierając szare, podrapane drzwi. Zaskrzypiały złowieszczo. Będąc już w środku, Małgorzata złożyła parasol i trzymając go w ręce jak jakąś broń, zaczęła szukać włącznika światła. Stara, pokryta deskami podłoga, uginając się pod stopami Małgorzaty, wydawała dziwne i niemiłe dla ucha odgłosy. Nie mając pod ręką latarki, kobieta użyła wyświetlacza telefonu, by rozjaśnić ciemne korytarze budynku. Nowe modele komórek nieźle się w tym sprawdzały. Trzymając w jednej dłoni telefon, a w drugiej parasolkę przygotowaną do obrony przed jakimś nieokreślonym stworzeniem, może człowiekiem, Małgosia kroczyła ostrożnie przed siebie. Przeleciało jej przez myśl pytanie: dlaczego akurat to miejsce wybrał? Kim on jest? Czy dobrze zrobiła, godząc się na podążanie za anonimowymi instrukcjami, jakich udzielał jej cel jej wizyty — Malecki? Wkrótce miała się o tym przekonać.

Idąc, bała się coraz bardziej. Wciąż jednak wytrwale badała pozostający w półmroku korytarz i jego pokryte grzybem ściany. Nieprzerwanie targały nią wątpliwości oraz niepokój.

„Może nie powinnam być sama? — rozmyślała — Powinnam przyjść z kimś...”.

Nie takie były jednak instrukcje.

— Jest tu ktoś?! — zawołała w końcu.

Cisza. Nadzieja na znalezienie żywej duszy w tym strasznym domu okazała się

złudna. Zero odzewu, tylko wiatr przechadzał się po korytarzu, wydając cichy świst. Wszechobecna cisza potęgowała uczucia strachu i niepokoju. Małgorzatę męczył natłok myśli: „Co ja tu robię? Ktoś tu żyje? Może mnie oszukano?”.

Coś się czaiło w ciemnościach, ale nie potrafiła stwierdzić: co. Ponoć ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a Gosia musiała pokonać całe schody. Brnęła więc dalej w mrok. Musiała coraz to głębiej zanurzyć się w ciemnościach tego upiornego miejsca. Skierowała się na stare, drewniane schody, które były tak niepewnej budowy, jak niepewna swojego losu była kobieta. Światło telefonu, pomimo tego, że oświetlało nawet sporą przestrzeń w tych egipskich ciemnościach, wciąż jednak było niewystarczające. Tak bardzo zresztą nasiąknęła już strachem, że nie wyzbyłaby się go, nawet trzymając wielką latarnię w dłoni. W końcu kobieta dotarła do upragnionych drzwi.

„Upragnione?! Przecież ja nie chcę tu być!” — wykrzyknęła w duchu. — Lepsze to jednak niż dalsze łożenie po tym dziwnym korytarzu”.

Spojrzała na drzwi, zdające się być dla niej niczym światełko w tunelu. Widniejąca na nich tabliczka z napisem: „Rafał Malecki, prywatny detektyw” dawno nie wachała szmaty. Zresztą podobnie jak cały budynek, wyglądający na bardzo zapuszczony, a wręcz na ruderę.

„Jak można pracować w takich warunkach? Prywatny detektyw, ale budynek niczym publiczna toaleta” — pomyślała Małgorzata, krzywiąc twarz z odrazą. Jako dość majętna kobieta nie przywykła do takiego otoczenia. Jeszcze nie spotkała detektywa Maleckiego, a już odczuwała do niego niechęć. Pedantyczna część jej osobowości najchętniej wybiegłaby stąd z płaczem. Po chwili znęcania się nad swoim poczuciem estetyki, przypomniała sobie, po co tu przybyła. Zapukała, a szorstki męski głos nakazał wejście. Dobiegał jakby zewsząd.

„Dziwne uczucie...” — myśl jak błyskawica.

Kobieta ostrożnie nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi do gabinetu Maleckiego.

Niepewnym krokiem przekroczyła próg ciemnego pokoju.

Po omacku szukała włącznika światła. Znalazła, ale nie działał.

— Możemy włączyć światło? — zapytała, choć niezbyt wiedziała, do kogo kieruje swój głos.

— Nie — odparł krótko.

Rzeczowość Maleckiego odebrała kobiecie ochotę na jakiegokolwiek dyskusje.

„Każdy ma swoje skrzywienia. Ten ewidentnie gustuje w ciemności” —

pomyślała, przekonując wewnętrznie samą siebie, by mu zaufać.

Nie mając wyboru, musiała podporządkować się regułom tej swego rodzaju gry. Pozostało jej wciąż tkwić w ciemnościach. Poczula, że strach jednak powraca, jak uporczywa mucha, która nie chce odlecieć, choćbyś nie wiem jak ją odganiał.

„Niech coś powie, do cholery!” — powtarzała intensywnie w duchu, odczuwając napięcie. Cisza potęgowała jej wyobcowanie. Napięcie nie pozwalało na logiczne przemyślenie sytuacji. Przychodzi tu sama, do obcego człowieka, i po prostu tańczy w rytmach granej przez niego muzyki. Jeśli jednak okaże się, że znalazła odpowiedniego człowieka w odpowiednim czasie, to cały wysiłek zostanie wynagrodzony.

W końcu głos z końca pomieszczenia kazał jej usiąść. Praktycznie po omacku znalazła krzesło i spełniła bardziej rozkaz niż prośbę.

„Spokojnie, bądź spokojna” — wmawiała sobie, głęboko oddychając.

— Boi się pani czegoś?

„Tak! Ciebie, ty cholerny dziwaku! Zapal światło!” — wykrzyczała mentalnie, ale głośno odpowiedziała jedynie:

— Nie, wszystko okej. Cieszę się, że znalazł pan dla mnie czas.

Znow nastąpiła cisza, a kobieta czuła, że zaczyna tego wręcz nienawidzić. Tęskniła za jakimikolwiek dźwiękami, bo nie podobało się jej swego rodzaju zawieszenie w próżni. Próbowwała wzrokiem przebić się przez mrok pomieszczenia. Zdawała sobie sprawę z tego, że widząc więcej, poczułaby się znacznie lepiej, może pewniej. W pomieszczeniu czaiło się coś złowieszczonego. Coś wisiało w powietrzu i z pewnością nie był to tylko zaduch dawno niesprzątanego i zaniedbanego biura.

Jednym z niewielu źródeł światła był wpadający przez okno księżyc. Dziś pełnia, czas wilkołaków. Noc. Pora potworów. Wyobraźnia pani Wrzesień pracowała na wysokich obrotach.

„Wszystkich klientów tak traktuje, czy może tylko mnie spotkał ten wątpliwy zaszczyt? Co ja mówię, kiedy on miał ostatniego gościa?” — zastanawiała się, siedząc na chwiejnym, drewnianym krześle. Małgorzata uporczywie wpatrywała się też w postać znajdującą się na końcu pomieszczenia za biurkiem. Próbowwała dojrzeć twarz detektywa. Na próżno. Widziała jednak dłonie. Spoczywały na biurku bez jakiegokolwiek głosu. Ten także nie był zbyt przyjemny. Chrapliwy, jakby mechaniczny. Panią Wrzesień jednak wychowano zbyt dobrze, by ośmieliła się wypytywać o takie rzeczy. Nie była także w nastroju na pogaduszki. Chciała złożyć

zlecenie, dowiedzieć się czegoś i zniknąć.

„Ofiara palenia” — pomyślała w końcu, a po chwili przestraszyło ją nagle przerwanie ciszy. Lekko podskoczyła i stłumiła pisk, gdy pozostająca w bezruchu postać odezwała się głosem, który zapewniał odczucie niepokoju i dyskomfortu osobie siedzącej naprzeciw. Gwarantował brak bezpieczeństwa. O to mu chodzi. Strach jest niczym berło, a on jest królem sytuacji.

— Witam panią — wypalił krótko.

— Mogłabym zapalić światło? Poczuję się pewniej — zapytała nieśmiało.

— Już mówiłem, że nie.

— Ale...

— Te ciemności to wynik awarii instalacji. Wszystko dziś siadło, więc nie pozwólmy, by i nasza rozmowa siadła.

„O to chodzi, dziwaku” — pomyślała.

— Mam ofertę. Bardzo ciekawą ofertę — powiedziała.

— O tym ja zadecyduję. Rozumiem, że to z panią rozmawiałem przez telefon?

— Tak, umawialiśmy się na dziś — odparła kobieta tak wyraźnie, jak tylko pozwalało jej na to ściśnięte strachem gardło.

— Tajemnicza z pani osóbka. Dlaczego podała mi pani tak zdawkowe personalia? Zawsze zachowujemy się tak, gdy się boimy. Wtedy nie ujawniamy za dużo, gdyż mamy coś do ukrycia. Jak jest z panią? — zapytał detektyw, a w jego głosie dało się wyczuć podejrzliwość. Z tego jednak żyje.

— Myślałam, że tyle wystarczy. Znał pan mojego męża? Znalazłam pana numer w jego notesie. Nazywa się Rafał...

— ...Malecki. Już sobie wyjaśniliśmy, kim jesteśmy. Pytanie brzmi: czego chcemy?

„Chcę stąd wyjść” — pomyślała kobieta, bo gierki słowne detektywa i jego dziwna skłonność do filozofii nie była tym, czego szuka.

Za wiele jednak najadła się strachu, zbyt dużo kosztowało ją, by dotrzeć tu gdzie jest. Nie była boginią odwagi, ale nigdy nie brakowało jej upor.

— Byliście z moim mężem przyjaciółmi?

— A przychodzi pani do mnie jako do przyjaciela czy do detektywa?

— Co to za różnica? Tak czy owak, pana zadaniem byłoby odnalezienie go — mówiła coraz odważniej kobieta. Wzrok przyzwyczaił się do ciemności, ale w razie czego trzymała w torebce przygotowany gaz pieprzowy.

Na wszelki wypadek.

— Przyjaciel nie weźmie za to pieniędzy. Ja jestem detektywem. Ile jest dla pani warte życie męża? Dużo? Dużo może pani znieść? — kontynuował Malecki.

„Przecież to oczywiste. Po co on mnie tak dziwnie wypytuje?” — zastanawiała się.

— To moja sprawa. Potrafi go pan znaleźć?

— Każdego da się znaleźć. Jeśli oczywiście chce być odnaleziony.

— Co ma pan na myśli?

— Nieważne. Przejdźmy do rzeczy. Przygotowała pani szczegóły sprawy, którą mam się zająć?

Choć mroczny styl Maleckiego z pewnością nie przysparzał mu wielu przyjaciół, to jednak nie to było najważniejsze. Pomimo widocznego zaniedbania jego biura można było pomyśleć, że kiepsko zarabia, więc dostaje niezbyt wiele zleceń.

— Nie wiem, czy w tych ciemnościach pan coś zobaczy, ale przygotowałam tutaj teczkę. Zostawię to panu do analizy, teraz chciałabym już... — detektyw przerwał jednak.

— Szybko się pani poddaje. Mąż nie byłby zadowolony.

— Nie poddałam się, tylko tutaj jest tak, tak... Ciemno, przeraża mnie pan — wypaliła w końcu kobieta.

Ta chwila szczerości nie mogła już dłużej skrywać się w jej psychice. Ulżyło jej, ale nie wiedziała czy było to rozsądne. Czy detektyw straci nad sobą panowanie?

— Może to kolejny świr czyhający na piękne blond idiotki? — pomyślała i strach znów zagościł w jej głowie, a serce zabiło mocniej.

— Nie mam czasu na bzdety. W moim życiu królują awarie, ale czy naprawdę nie po to pani tu przyszła? Nie chciała się pani przetestować, ile tak naprawdę może znieść dla męża? — mówił detektyw nieco szybciej. Jego uwagi jednak były bardzo celne. Gosia musiała przyznać mu rację.

Pomiędzy nią a jej mężem nie było ostatnio najlepiej.

Zimny, rzeczowy ton detektywa oraz celne spostrzeżenia utwierdziły kobietę, że ma do czynienia z profesjonalistą. Geniusze bywają dziwni.

— Jak już pan wie, szukam swojego męża. Nazywał się Piotr Wrzesień.

— Nazywał się? Czyż to nie znak, że został spisany na straty? — zauważył Malecki.

Próbował się droczyć z klientką, jak to często miał w zwyczaju. Był z natury

upierdliwy, sarkastyczny i czepiał się słów. Lata w zawodzie detektywa tak go ukształtowały. Rozkładał słowa na czynniki pierwsze, w nadziei, że dadzą mu rozwiązanie. Takie przynajmniej krążyły o nim opinie. Nieścisłości były jak rany u zwierzyny, na którą polował. Pomagały się jej wykrwawić, wtedy spokojnie mógł ofiarę dobić i pożreć.

— Przepraszam, n a z y w a się Piotr Wrzesień — poprawiła się kobieta. — Zaginał tydzień temu — dodała szybko.

— Kiedy ostatni raz go pani widziała? — drążył detektyw, wciąż pozostając w bezruchu. Brak jakiejkolwiek gestykulacji Maleckiego działał paraliżująco na rozmówczynię. Trzeba jednak przyznać, że był nadzwyczaj opanowany. To się chwali w zawodzie detektywa. Nie weźmie nóg za pas, gdy usłyszy odgłos otwieranej butelki z szampanem. Nie spanikuje, biorąc to za wystrzał z pistoletu.

— W czwartek. Wyszedł do pracy, wtedy widziałam go po raz ostatni. Później słuch po nim zaginał.

— A czym zajmuje się mąż i jaki mamy dziś dzień? — zapytał detektyw.

Drugie pytanie było nieco zbijające z tropu, wydawało się zupełnie nie na temat.

— Jest dyrektorem szpitala dla obłąkanych. Dziś mamy poniedziałek, a cóż to za pytanie?

— Widzę, że niezbyt panią zmartwiło zniknięcie męża, skoro zgłasza się pani do mnie dopiero po tylu dniach. Skąd ta zwłoka?

— To chyba nie ma związku ze sprawą. Miałam swoje powody — odparła z irytacją.

Małgorzatę zaczynały denerwować uszczypliwe uwagi na temat jej życia prywatnego. Powstrzymała się jednak od dalszej reakcji. Uspokoila się i odpowiedziała udawanym zimnym głosem, który był nieudolną próbą „odbicia piłeczki”. Chciała upodobnić się do Maleckiego, zagrać w jego grę i pokazać, że uszczypliwość jest instrumentem, na którym ona także potrafi zagrać.

— Nie ma pan zbyt dużej ilości zleceń.

— To chyba lepiej, będę mógł skupić się na pracy dla pani. Uważa pani, że między panią a mężem było dobrze?

— Często znikał, gdy się kłóciliśmy...

— Skoro często się kłóciliście, to może dobrze, że teraz wreszcie zniknął na dłużej?

— Panie Malecki, mam dość tego sarkazmu. To nie ma związku ze sprawą —

powiedziała kobieta, nie wytrzymując napięcia.

— To ja jestem detektywem i znam się na tej robocie. Zawsze może pani odejść.

— Nie, nie mogę. Przepraszam, mam ostatnio ciężkie dni. To wszystko jest takie przytłaczające.

— Wszystkich nas życie przygniata. Pytanie brzmi, czy chcemy ten ciężar podnieść, czy od razu się poddajemy.

— Ja chcę jedynie, by odnalazł pan mojego męża. To mój ciężar.

— Ciężarem jest jego zniknięcie, czy konieczność próby jego odnalezienia?

„Człowieku... Ja tu przeżywam dramat, niemal sikam po kostkach ze strachu w twojej dziwnej ciemni, gdzie jedynym źródłem światła jest zasrany księżyc, a tobie się bierze na filozofię!?” — krzyczała w myślach kobieta. Na zewnątrz jednak udawało się jej zachować pozory spokoju. Ciemność stała się również jej kotarą bezpieczeństwa.

— Klótnie bywają oczyszczające. Wszyscy nosimy swoje krzyże tak długo, aż chcemy obarczyć nimi kogoś innego.

— Zawsze pan tak filozofuje? — zapytała w końcu kobieta, zmęczona już gierkami detektywa. — Dlaczego tak interesują pana nasze relacje, klótnie?

— Zgłębiam tajniki ludzkiej głowy. Tam zwykle znajduję odpowiedź. Czego dotyczyły klótnie? — zapytał wciąż zadziwiająco spokojny detektyw.

W jego braku emocji było coś tajemniczego, może nawet interesującego. Małgorzata musiała przyznać rację Maleckiemu, że to on jest detektywem i on zadaje pytania. Jest panem sytuacji.

W końcu pani Wrzesień pękła. Potok słów wytoczył się niczym lawa z wulkanu.

— Chodziło o nasz dom. Narzekał, że źle się tam czuje. Często wracał pijany, powtarzał, że to pozwala mu się wyciszyć i odprężyć. Czasami tracił panowanie nad sobą... Pomimo tego, że byliśmy małżeństwem, czasami czułam się jakby mnie... Jakby mnie... gwałcił. Jakbym uprawiała seks z kimś innym. On sam bywał chorobliwie zazdrosny. Kiedyś pobił sąsiada za to, że ten się na mnie gapił. To było chore. Był wyczulony na słowo: chory. Raz nawet mnie uderzył... Wtedy zaproponowałam wizytę u terapeuty... Mieliśmy tam iść razem, ale zaczął się na mnie wydzierać, że nie jest wariatem, że nie jest chory.

— Zna pani bajkę o Jasiu i Małgosi? — zapytał nagle Malecki.

— Tak, znam — odparła krótko Małgorzata, po raz kolejny zbita z tropu



dziwnym pytaniem detektywa. Nie miała sił na dywagacje.

Chciała jak najszybciej mówić dalej, mieć to za sobą.

— Tak więc mój mąż... — próbowała dokończyć opowieść.

— Był tam chyba także jakiś dom na kurzej stópce...

— Tak, ale co to ma do rzeczy?

— Para bohaterów, zła czarownica, straszny dom. Pytanie: które z was jest czarownicą?

— Wciąż nie rozumiem.

— Nie ufa mi pani. Skoro nie ufa pani mnie, to czy ufa własnemu mężowi?

— Zaczyna mnie męczyć ta rozmowa. Przyjście tutaj mogło być błędem.

— To nie był błąd. To początek.

— To, że tu jestem było chyba wystarczającym objawem nadziei, jakie pokładam w panu, detektywie.

— Rozumiem, rozumiem. A czy zaginiony mąż czytał bajki?

— Nie wiem, możliwe.

— Jak na wiele lat małżeństwa, to jakoś mało pani o nim wie.

— Ta wizyta zamienia się w analizę psychoanalityczną. Bada mnie pan, detektywie?

— Skrzywienie zawodowe. Pani jednak pragnie konkretów. Jakie były ostatnie słowa zaginionego? — zapytał Malecki, jakby niewzruszony narastającym oburzeniem Małgorzaty.

Jej opowieść także nie robiła na nim najmniejszego wrażenia, wysłuchał już w swoim życiu setki takich historii.

— Ostatnie słowa? Co to ma do rzeczy? — spytała poirytowana.

— Bardzo wiele. Słowo nieraz prowadzi do czynu. Znając skutek, poznamy przyczynę. Niech pani zacznie współpracować.

— No dobrze. Podejrzewał, że go zdradzam. Brednie... — odpowiedziała szczerze Małgorzata, choć nie podobało jej, że obcy facet wchodzi z butami w jej prywatność.

— A zdradzała pani? — zapytał bezceremonialnie, wręcz bezczelnie detektyw, wciąż siedząc sztywno w ciemnościach.

— To przecież moja sprawa, prawda? — zapytała retorycznie.

— Nie chce się pani przyznać do grzechu? — kontynuował detektyw.

— Zaraz, to spowiedź?

— Coś w tym rodzaju. Każdy potrzebuje odkupienia.

„Odkupienia?” — pomyślała Małgorzata i stwierdziła, że zbyt długo siedzi w ciemnym pokoju z niespełna rozumu mężczyzną.

Dała się wciągnąć w dziwną grę.

— Chyba źle wybrałam... — stwierdziła, zrywając się do wyjścia, ale Malecki ją zatrzymał.

— Małgorzato, stój! — rzucił w końcu, niespodziewanie w jego zachrypniętym głosie pojawiły się emocje.

Kobieta odwróciła się powoli. Przełknęła ślinę i zapytała:

— Rozumiem, że szuka pan odpowiedzi, ale wydaje mi się, że kopie pan zbyt głęboko. To zaczyna wyglądać jak wtykanie głowy w nieswoje sprawy.

— Co sprawiłoby, że czułaby się pani pewniej? Ważniejsze jest znalezienie pani męża czy dobre samopoczucie?

Gosia musiała przyznać, że to rzeczywiście dobre pytanie.

— Po prostu chciałabym zobaczyć pana twarz. Dlaczego nie mogę jej zobaczyć? — zapytała, próbując dojrzeć coś w ciemnościach.

— Bo jej nie mam.

— Nie rozumiem, przecież napis na drzwiach... Czy Rafał Malecki to pan? — spytała zaniepokojona kobieta, której na dobre przestały się podobać podchody nieznajomego.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Grobową ciszę zakłócało tylko skrzypienie starej podłogi pod ostrożnymi krokami Małgorzaty, zmierzającej w stronę nieruchomej postaci. Mając dość gierki detektywa, włączyła telefon komórkowy, znów użyła go jako latarki. Serce podchodziło jej do gardła, a strach ponownie obejmował ją swoim rękoma. Malecki nie reagował, jakby czekał. W końcu zobaczyła tego tajemniczego mężczyznę.

Małgorzatę załapała mieszanka strachu, zaskoczenia i szoku. Poczowała mdłości, jakby ktoś tańczył w jej żołądku. Nogi ugięły się pod kobietą i instynktownie zrobiła krok do tyłu. Zaczęła wrzeszczeć jak opętana. Potknęła się i upadła, upuszczając także telefon. Zgasł i znów było ciemno. Zwymiotowała obficie na drewnianą, zakurzoną podłogę...

Co takiego zobaczyła?

Jej wrażliwym, kobiecym oczom ukazał się makabryczny widok. Żart, który nie miał prawa nikogo rozśmieszyć. Obrzydliwe nawiązanie do Halooween, bo tak

z pewnością można było opisać ten nieprzyjemny widok. Nigdy nie rozumiała tego święta.

Ciało jakiegoś mężczyzny w szarym, pasiastym garniturze było usadowione na krześle. Brakowało mu głowy, którą zastępowała dynia z wyciętymi oczami i uśmiechem... Jeśli ktoś chciał śmiertelnie przestraszyć Małgorzatę Wrzesień, to udało się mu to koncertowo.